Nr. 20. Poznań, dnia 30 września 1917. Rok IX.

GAZETA DLA KOBIET

Dwutygodnik poświęcony sprawom kobiet pracujących.

Organ »Związku Stowarzyszeń Katolickich Kobiet Pracujących« z siedzibą w Poznaniu.

Wychodzi co dwa tygodnie na niedzielę. Zamówienia przysyłać należy do Ekspedycyi: Poznań — św. Marcin 69. — Abonament na poczcie 50 fen. kwartalnie. — Adres Redakcyi: Poznań — św. Marcin 69. Numer telefonu 2062. —

REDAKTOR: Ks. Stanisław Grzęda.

Ogłoszenia: jednołamowy wiersz petytowy 25 fen. Ogłoszenia stowarzyszeń w części inseratowej na ostatniej stronie wiersz 10 fen. — Ogłoszenia przyjmuje Ekspedycya Poznań — św. Marcin 69. Numer telefonu 2062.

Poszanowanie cudzej własności.

Są cnoty, które zdawaćby się mogło, posiadać powinien każdy człowiek. Nie są one bowiem trudne do wykonania, o ile od dziecka nakłaniają nas rodzice i wychowawcy do przestrzegania tychże. A jednak w życiu bywa nieraz inaczej. Jedną z takich cnót jest poszanowanie cudzej własności i jej właśnie chcę poświęcić kilka słów.

Co rozumiemy przez poszanowanie cudzej własności? Pytanie to jest tak jasne i zrozumiałe, że odpowiedź na nie zdawałaby się zbyteczna. Przypatrzmy się jednak bliżej tej sprawie. Przez poszanowanie cudzej własności powinniśmy przedewszystkiem rozumieć to, co słowa te nam mówią, a więc mamy szanować cudzą własność, jak gdyby ona była naszą własną. Nie niszczmy zatem pożyczonych książek, nie zużywajmy więcej danych nam do dyspozycyi przedmiotów, aniżeli tego zachodzi potrzeba, obchodźmy się starannie z rzeczami powierzonemi naszej pieczy, aby przez nasze niedopatrzenie lub lenistwo się nie niszczyły. Bądźmy jednem słowem uczciwymi w obchodzeniu się z cudzą własnością, a nagrodą za to będzie uznanie bliźnich i zadowolenie wewnętrzne.

Wiele ludzi zdaje się zupełnie nie rozumieć tego, że nieposzanowanie cudzej własności to nieuczciwość, która nie jest wprost kradzieżą, ale często może się z nią równać. Weźmy n. p. następujący wypadek, którego świadkiem byłam w tych dniach. Z okna jednego z domów spadł na ulicę dywanik, zwiany przez wiatr. W chwilę później przechodząca tą ulicą kobieta schyliła się po niego, chcąc go sobie przywłaszczyć i dopiero na zrobioną uwagę pozostawiła go na miejscu, skąd inny przechodzień dywanik zabrał i oddał właścicielowi. — Czy kobieta ta postąpiła uczciwie, chcąc sobie przywłaszczyć to, co do niej nie należało? Przyzna każdy, że postępowania takiego pochwalić nie można, lecz trzeba napiętnować jako nieuczciwość.

To samo odnosi się do wszelkich znalezionych rzeczy, których właściciele są nam nieznani. Rzeczy znalezione były przecież czyjąś własnością, mogły nieraz mieć dla właścicieli wielką wartość, bądź to materyalną, bądź to jako pamiątka lub t. p. Rzeczy takie, o ile to nie są drobnostki jak ołówek, jabłko i t. d. lub rzeczy bezwartościowe, trzeba oddać w biurze policyi lub przynajmniej zgłosić ich znalezienie, aby prawy właściciel wiedział, gdzie je odszukać. Szczególnie w dzisiejszych trudnych czasach, gdy bez poświadczeń niewiele można kupić, choćby się nawet miało pieniądze, starać się trzeba o to, aby znalezione rzeczy dostały się znowu w ręce właściciela. Długi spis znalezionych rzeczy, które biuro policyi podaje co pewien czas, świadczy o tem, że jest jeszcze wiele ludzi uczciwych.

Poszanowanie cudzej własności to cnota, o której powinniśmy ciągle pamiętać i jej przestrzegać. Lecz nie przestrzegajmy jej tylko u siebie. W dzisiejszych czasach niejednych braków zdarza się nieraz, że ludzie dawniej uczciwi, którzy nie byliby ruszyli cudzej własności, znalazłszy coś, co im się może przydać, nie oddają właścicielowi, lecz zabierają jako rzecz własną. Szczególnie dzieci, chowano bez dostatecznej opieki rodzicielskiej, nie tyle z nieuczciwości jak z nieświadomości, przywłaszczają sobie znalezione rzeczy. Jeżeli nam się zdarzy być świadkiem takiego wypadku, zwróćmy im uwagę na niewłaściwość takiego postępowania i pouczmy je o uczciwości. Przestrzegajmy poszanowania cudzej własności pod każdym względem, w najbliższem naszem otoczeniu, a wychowamy dzieci nasze na ludzi uczciwych, którym będzie można zaufać w każdym wypadku.

Z niczego coś!

Jakże ucieszyła się p. Władysława, gdy wychodząc w południe po skończonem zajęciu, ujrzała kuzynkę, oczekującą ją przed domem.

— Ja jak w dym do ciebie, — zaczęła opowiadać nowoprzybyła p. Stanisława. — Wiadoma rzecz, że człowiek powietrzem żyć nie może, zjeść coś trzeba, a tu w tem miasteczku bez kartek i poświadczeń ani rusz, z głodu by umrzeć można. Pomyślałam sobie tedy, po dawnemu do Władzi pójdę na obiad i basta.

— O, wszystko uległo zmianie, odkąd mama oczy zamknęła, — ze smutkiem odzywa się p. Władysława, — nie tak u mnie teraz, jak dawniej bywało. Ja cały dzień przy pracy, prócz tych 2 godzin południowych, to i któż ma gospodarstwa przypilnować? Wali się wszystko i rozpada, a ja sama po części czarną kaszą jęczmienną żyję i chlebem, nie bardzo się tedy Stasiu u mnie pożywisz.

— Co ty powiadasz, — aż ręce załamała p. Stanisława, — a toż w mig się zamarnujesz, już uważam, że bardzo zmizerniałaś! A toż żołądek gospo-

darzem całego organizmu, jakże go można tak zaniedbywać? Nie zapłacno gospodarzowi komornego za mieszkanie, wyrzuci cię, ani się obejrzysz, nie dostarczaj żołądkowi pożywienia, osłabniesz na nic, sił ci zabraknie do pracy, no i co będzie wtedy? Ach, moja droga, jakaś też ty nierozsądna, nie zastanowiłaś się chyba nad tem? A ja ci tu widzisz tego i owego po trochu ze wsi przywiozłam ,ale cóż się z tem stanie, skoro ty nic nie gotujesz?

Tak utyskując i zrzędząc, obie kuzynki obarczone paczkami p. Stanisławy, stanęły wkrótce przed mieszkaniem p. Władysławy.

— Oj, widać, że tu brak ręki cioci, widać. — biada przybyła, rozglądając się po skromnem mieszkanku, — no, ale to trudno, przedewszystkiem zjeść coś trzeba, bo „Polka jak głodna, to zła". dawaj Władziu fartuch jaki — i przepasana nim, robi przegląd mocno wypróżnionej spiżarni.

— No, ostatecznie obiad jaki taki się ugotuje, — zawyrokowała, wynosząc skromne zapasy do kuchni. — Tu widzę smażyłaś wczoraj jakiś kotlet i zostało trochę cebulki, to się przyda. Ja przywiozłam trochę perek i kalafior, tu jest jeszcze trochę kaszy jęczmiennej. No, głowa do góry, będzie obiad, dalej Władziu do roboty!

Już ostrugane perki i obrany kalafior, już ogień dudni. Nim panny resztę przywiezionych prowiantów wypakowały, kalafior się ugotował i perki doszły. Panna Władysława, chcąc okazać, że i jej sztuka kucharska zupełnie obca nie jest, chwyta garnek, aby odlać odwar od perek.

— Stój, na Boga, marnotrawnico, cóż ty czynić zamierzasz, — woła p. Stanisława. — a toć szkoda tej treści najlepszej i — wsypawszy do garnuszka trzy łyżki kaszy jęczmiennej zalewa ją odwarem kalafiora i przystawia do ognia. — Zobaczysz, jaka będzie smaczna, ale możemy uczynić ją jeszcze lepszą — i odwar perek leje na patelnię. — Tak, wygotują się nasiąkłe tłuszczem cebulki i smak wydadzą znakomity, zupa będzie na królewski stół, wspaniały krupniczek, a prawie z niczego. Tak, tak, moja droga, w gospodarstwie nic ginąć nie powinno, bo z wszystkiego zawsze jeszcze coś zrobić można, nic nie powinno się zmarnować, zwłaszcza teraz, gdy głód w oczy zagląda!

Obiad był rzeczywiście smaczny, p. Władysława nie mogła nie przyznać tego, a kuzynka dumna dowodziła energicznie.

— To też radzę ci, moja Władziu, mebelków nie pozbywaj, mieszkania nie zwijaj, sama na komorne nie chódź! Masz po cioci łóżko wolne, masz dużą kanapę, wynajmij je jakim dwom młodym panienkom, to ci i weselej będzie i nie będziesz taka sama! Długoż to trwa przyrządzenie takiego obiadu jak dzisiaj? Widziałaś sama, w pół godziny z wszystkiem się załatwiłyśmy. Weźmiesz posługaczkę, jaką zaufaną kobietę z podwórza, przyjdzie wieczorem, zmyje ci wszystko, sprzątnie, niejedno przygotuje, a przynajmniej nie zmarnujesz dobytku, który ci został po matce i będziesz pania u siebie!

Kiwa p. Władysława głową do taktu słów kuzynki i przyznaje jej słuszność.

— Tak, tak, moja droga, widzę, że przy tak oszczędnem gotowaniu, rzeczywiście mogłabym sobie na niejedno pozwolić, ale to zostań choć parę dni

---

Marya Bogusławska.

Dwie matki.

Przy samej Krakowskiej rogatce w Wieliczce stoją dwa ładne białe domki w ogrodach, bliźniaczo podobne do siebie, zamieszkałe przez rodziny dwóch nadsztygarów salinowych: Nowaka i Słupskiego.

Związani przyjaźnią od lat dziecinnych razem skończyli szkołę nadsztygarów, razem wstąpili na służbę w kopalni, w jednym czasie się ożenili, za pierwsze oszczędności zakupili plac, na którym wznieśli dwa jednakowe domy i założyli ogrody, w pięknem utrzymaniu których prześcigali się właściciele. W domkach tych i ogródkach bywało z każdym rokiem gwarniej, obie panie bowiem rzetelnie wykonywały obowiązek narodowy troski o przyrost polaków.

Pani Słupska i Nowakowa żyły z sobą zgodnie pomimo tak bliskiego sąsiedztwa, ciągłego schodzenia się z sobą i różnych usposobień. Zgadzały się w mieszkaniu i w ogrodzie, we wspólnych kurnikach i w dole od kartofli, różniły się tylko w pokojach dziecinnych. Miały bowiem zupełnie różne metody wychowania, przyczem pani Nowakowa zarzucała pani Słupskiej zbytnie psucie dzieci, Słupska Nowakowej zbytnią surowość.

Znajomi w tym względzie dzielili się w zapatrywaniach, większość jednak Słupską za idealną matkę, Nowakową zaś za „taką przeciętną".

Słupska otaczała swoją gromadkę niezmierną czułością; do dużych już dzieci przemawiała jak do niemowląt, ubierała je i rozbierała trzymając na kolanach, choć nogi podrostków dotykały ziemi, formalnie zacałowywała je, nigdy nie gniewała się na nie, tembardziej nie podniosła ręki, gderając jedynie, ile razy wystąpiło które przeciwko przepisom światowym, lub splamiło czy rozdarło ubranie, które ona nie szczędząc zdrowia, szyła i przerabiała po całych nocach. Dzięki temu miewały one zawsze garnitury i sukienki wzorowane na garderobie dzieci dyrektora Pichau, które przecie z corocznych wyjazdów do dziadków w Paryżu przywoziły najmodniejsze modele.

Dzieci Nowakowej przeciwnie ubierane były skromnie i trzymane krótko. Ledwie od ziemi odrosły musiały już same się ubierać, słać łóżeczka, sprzątać pokoik. Przemawiała do nich matka bez zmiękczeń i zdrobnień, wymagała szacunku i względności zarówno w stosunkach między sobą, jak dla rodziców i sług. A kilkakrotne spełnienie na jednem lub drugiem rady Ducha świętego, czego echo doszło do uszu sąsiadów, napełniło oburzeniem czułe serce Słupskiej.

I rzecz dziwna przedmiot ciągłej troskliwości i zabiegów, dzieci Słupskiej często chorowały, do nauk brały się niechętnie, a matkę tyranizowały wymaganiami i fantazyami. Nowakowej dzieci przeciwnie, zdrowe były jak orzeszki, uczyły się doskonale, a matkę, mimo, że zapoznała je z pięciopalczastem narzędziem władzy rodzicielskiej, kochały szalenie.

Lata płynęły.

W białych domkach pod rogatką Krakowską figurowali już dwaj chłopcy i dwie dorosłe panienki, czworo podrostków w wieku od lat dwunastu do szesnastu i troje drobiazgu. W gromadce tej sześcioro, w tem pięciu chłopców, trzeba było zapisać na dobro pani Nowakowej; trzy dziewczynki i dwóch chłopców na rachunek pani Słupskiej.

Mimo serdecznej przyjaźni, jaka łączyła ojców i przyzwoitych stosunków między matkami, młodzież niezbyt lgnęła do siebie; póki to było małe, nierozdzielnie bawiło się ze sobą w chowanego, ślepą babkę, kolej, cyganów, zbójców itd. Skoro jednak poszły

u mnie i poucz mnie trochę, bo nie miałam pojęcia o sztuce zrobienia czegoś z niczego! P. W.

Z życia dzieci.

Małą i ciasną uliczką poznańską, na wązkim chodniku idzie drobna i pochylona staruszka, podpierana silnem ramieniem młodej osoby.

Nagle chłopiec ośmio, a może dziesięcioletni, rozbiegany, szybko i nieostrożnie mija idące na chodniku kobiety, uderza staruszkę, która z pewnością upadłaby i rozbiła się, gdyby nie przytomność umysłu i siła towarzyszki. Na głośną jej uwagę, że chłopiec powinien uważniej przebiegać ulice i ostrożnie wymijać starsze osoby, chłopiec ten odezwał się hardo, iż kto chodzić nie umie po ulicach, powinien siedzieć w domu; reszta dzieci głośnym wybuchnęła śmiechem, rozbiegając się na wszystkie strony.

Matka niesfornego chłopaka, przyglądająca się całej tej scenie z okna trzeciego piętra, ani jednem słowem nie skarciła syna.

Inną ulicą idzie chłopiec mniejszy, może sześcioletni, trzymając w ręce próżną siatkę targową, którą wymachuje na wszystkie strony, przyczem uderza przechodzące kobiety w twarz, łokieć, ramię... gdzie trafi. Uwaga zrobiona dziecku przez przechodzące panie, wywołuje grad słów brzydkich i wyzwisk.

Smutne to obrazki, powtarzające się na każdym kroku w najrozmaitszych odmianach, a tem smutniejsze, że nie tyle dziecko winne, ile rodzice — matka zwłaszcza.

Przyjrzawszy się dzieciom naszym, zbliżając się do nich, poznać możemy od razu, że poszanowania dla wieku, dla osób starszych nie znają zupełnie. Na najmniejszą uwagę, zrobioną im chociażby w słowach najłagodniejszych i serdecznych, odbiera się ilość słów i wyzwisk najwstrętniejszych, prawdziwie ulicznych! Matki dzisiejsze nie wpajają w dzieci swoje poszanowania, należącego się osobom starszym, nie nauczą dzieci swoich, że wiekowi należą sie pewne względy, czy to na ulicy, w kościele, na schodach, w tramwajach czy gdziekolwiek. Dawniej matki uczyły dzieci, że nie godzi im się rozsiadać wygodnie, kiedy osoba starsza stoi, że dziecko ustąpić musi, czy to przejścia wygodnego, czy miejsca gdziekolwiek bądź osobom starszym.

Dziś inaczej — matki na uwagę zrobioną dziecku w najlepszej myśli, nietylko że pozwalają dzieciom odpowiedzieć krnąbrnie i wyzwiskiem, ale same sypną takim gradem słów przykrych, że osoba chociażby najlepsze miała intencye wobec dzieci, w przyszłości obawiać się będzie, zrobić im jakąkolwiek uwagę.

Niestety zapominają matki te, że dzieci ich przyzwyczajone od małości do nieuszanowania osób starszych, nie karane przez rodziców za takie postępki, skoro tylko trochę wyrosną, zatracą przedewszystkiem poszanowanie i konieczną obawę przed rodzicami, będą ich lekceważyli na każdym kroku, a na starość ci rodzice pójdą w poniewierkę u własnych dzieci!.

Pamiętajcie więc matki kochane, że
„czego się skorupka za młodu napije,
tem na starość trąci". —

Karzcie dzieci własne za nieuszanowanie i lekceważenie osób starszych, choćby to była najbiedniejsza babinka z ulicy, lub dziadek kościelny — nie wymyślajcie o-

---

do szkół każde znalazło sobie przyjaciela lub przyjaciółkę, bardziej do siebie dopasowanych.

Przytem dzieci pani Nowakowej były, zdaniem Słupskiej, opętane mamią skautową, którą oboje rodzice nietylko tolerowali, ale wręcz promowali, pozwalając na ciągłe uprawianie skautu nietylko chłopcom, ale i córce! Ładna, smukła Hanka szpeciła swe kształty krótką, fałdowaną spódniczką z szarego materyału i bluską jakby ze starszego brata, a na głowę wkładała kapelusz, jakiego za żadną cenę nie byłaby włożyła żadna z córek dyrektora Pichau, a zatem i żadna z panien Słupskich! Zbrojna w długi kij, z plecakiem wyładowanym, wyruszała nieraz na cały dzień z domu na wycieczki, w których prócz braci, brali też udział różni inni chłopcy, Bóg wie, z jakich domów i jak wychowani. Skutkiem tego przebywania na powietrzu cera jej ściemniała, ruchy nabrały rubaszności, a śmiech bywał taki donośny, że wywoływał zawsze monitum pani Słupskiej: „Tak nie śmieje się nigdy elegancka kobieta".

Z dumą też Słupska porównywała z nią swoją Zochnę, wyglądającą iście na księżniczkę, cerę miała przezroczystą, rączki drobne, wypieszczone, o wypolerowanych i ukarminowanych paznokciach. Nie lubiła dużo chodzić ,bo miewała zwykle przyciasne, lecz ostatniej mody obuwie. Bała się myszy, chrabąszczy, żab, opalenia i posądzenia o brak znajomości form towarzyskich. W sercu swem mieściła miłość do matki obok zamiłowania stroi i ukochania pieska Bonusia, bliźniego brata foksterjerka panny Blanki Pichau. Umiała niedrogo a wykwintnie się ubrać, prześlicznie uczesać, obierać raki, nie biorąc ich w palce i być zupełnie swobodną w zachowaniu pomimo silnego ściśnięcia gorsetem.

Co dziwnego, że panienka takich przymiotów i talentów, prędko wzróciła na siebie uwagę i zaledwie skończyła lat siedmnaście znalazła już konkurenta.

Był nim pan Józef Strzelbicki, administrator książęcych dóbr, człowiek starszy, stateczny, z ogromną pensyą i już odłożoną gotówką. Rozważając te dane pani Słupska orzekła o Strzelbickim, że jest dobrą partyą i że najlepiej od pierwszej wizyty traktować go jak konkurenta. Zosia uległe przyjęła decyzyą matki, tylko wieczorem raz po raz ucierała nos leżąc już w łóżku. Zaniepokoiło to młodszą o rok Alinkę, która wyskoczyła z pościeli, a siadając na łóżku siostry, zapytała ją troskliwie:

— Zochna, co tobie?

— Nic.

— Płaczesz!...

— Nie.

I jak na potwierdzenie rozległo się jeszcze żałośniejsze utarcie nosa i ciche pochlipywanie.

— Zosiunia, powiedz co ci jest?

— Jak ci się podoba pan Józef? — zapytała wzamian Zosia.

— Piernik.

— Stary, prawda?

— Próchno się z niego sypie; ma chyba z czterdzieści pięć lat.

— I ja tak myślę... Mama chce, żebym za niego wyszła.

— Wyglądałabyś przy nim jak jego córka.

— O to dobrze... Mamcia powiada, że starszego męża najłatwiej za nos prowadzić.

— Ja myślę, że każdego łatwo, więc po co brać starego?

— Bogaty bardzo.

— Ty jesteś taka ładna, że znalazłabyś męża bogatego i tak, nie za rok, to za dziesięć.

— Za dziesięć!... Zlituj się, Ala, miałabym wówczas dwudziesty ósmy rok, byłabym już stara panna.

— Nieprawda, Marta Pichau ma dwadzieścia dziewięć lat, a wygląda młodo i wszyscy się nią zachwycają.

sobom obcym, słusznie upominającym dzieci wasze, a doczekacie się na starość poszanowania i miłości własnych dzieci.

Dobra rada i prośba do wszystkich.

Widzimy często,szczególniej w porze letniej i jesiennej, porozrzucane na ulicach i chodnikach ogryzki jabłek i gruszek oraz pestki od najrozmaitszych owoców. Jest to na pozór drobnostka, dla oka niemiła jako dowód nieporządku. Drobnostka ta może sprowadzić jednak nieraz jeżeli nie nieszczęście, to przynajmniej poważne okaleczenie. Jak często bowiem zdarza się, że osoba przechodząca ulicą, a niewidząca rzuconej ogryzki lub pestki, pośliznąwszy się przez nią, pada i łamie rękę lub nogę. Szczęśliwy ten, kto upadłszy, nabędzie tylko sińca lub guza. Sprawca podobnego wypadku nie wie zwykle nic o tem ,bo nie przypuszcza nawet, że jego nieporządek może bliźniemu wyrządzić krzywdę.

Przestrzegajmy więc, drogie Siostry, porządku pod tym względem. Nie rozrzucajmy same pestek i ogryzek i nie wyrzucajmy ich oknem, aby je usunąć z pokoju. Spostrzegłszy na ulicy leżące ogryzki lub pestki, usuńmy je pod mur; wystarczy na to jedno posunięcie nogą. Pouczajmy szczególniej dzieci nasze w tej sprawie, zwracając im uwagę na nieszczęście, które mogą sprowadzić na siebie i drugich. Dzieci są czułe na niedolę bliźnich, będą więc przestrzegały dobrych rad matek i starszych, aby się nie stały dobrowolnie przyczyną czyjegoś nieszczęścia.

Bobuś.

Bobuś był jedynakiem. Właściwie na chrzcie św. dano mu na imię Władysław — Władzio, ale nikt go tak nie nazywał, a Bobusiowi na myśl nie przyszło, że może być czemś innem, jak Bobusiem. Stanowisko to bowiem było wcale wygodnem; każdy pieścił, całował, mamusia myślała tylko o nim, a tatuś brał na kolana chuśtał: „tak pan jedzie po obiedzie, a tak pani z córeczkami, a tak Żyd!". Wolno mu było wszystko, tak się przynajmniej Bobusiowi zdawało, bo, jeśli na przykład miał ochotę coś połamać, albo potłuc, to mamusia tłumaczyła, że nie trzeba, tak jakoś mądrze i przekonywująco to mówiła, że Bobuś sam dziwił się, że mu to na myśl nie przyszło i zabierał się do innej zabawy. — Najwięcej lubił, gdy wieczorem, o szarej godzinie mamusia opowiadała mu bajki i legendy: o takich ślicznych, ślicznych białych aniołkach, ze srebrnemi skrzydełkami; o takiem wielkiem, wielkiem niebie, o Matce Boskiej, która dla sierotek koszulki przędzie, o małym Jezusku, kochającym dobre, grzeczne dzieci. „A czy mnie też ten Pan Jezusek kocha?" pytał Bobuś, roztwieraąjc szeroko wielkie, czarne ślipki, z obawą, aby mama nie powiedziała ,że nie, „bo On mnie przecież nie zna, On tu nigdy nie był prawda, mamusiu?" Lecz mama uspokaja malca, tłumaczy że Bóg jest wszędzie i widzi wszystkich. Bobuś nie rozumie, ale tak być musi, gdy matuś mówi, bo matuś wie dużo, dużo, nawet to, że Bobuś wylał atrament, chociaż jej wcale w pokoju nie było i potem wie też zawsze kiedy tatuś wróci, choć go wcale

---

— Spaliłabym się ze wstydu, żebym nie wyszła zamąż przed dwudziestym rokiem, każdy by myślał, że się nie podobam młodzieży. A gdzie ja tu w Wieliczce znajdę w ciągu dwóch lat drugiego bogatego konkurenta?

— A tobie pan Józef się nie podoba?

— Taki... za stary... za mądry.

— Et chyba nie taki mądry, kiedy się w tobie zakochał, a ty przecie nawet pensyi nie skończyłaś. Wiesz, ja małżeństwa bez miłości nie pojmuję.

— Mamcia mówi, że lepiej jak małżeństwo obywa się bez miłości niż bez pieniędzy...

W imię tej zasady Zosia przyjmowała ze sztucznie przywołanym na usta uśmiechem codzienne wizyty konkurenta. Matka przytem poczęła przygotowywać panienkę do doniosłego stanu małżeńskiego; zaabonowała jej francuski dziennik mód, na którym miała wyrabiać sobie gust; zapłaciła kilka lekcyi u fryzyera, boć na wsi nie zawsze łatwo o kogoś uzdolnionego w czesaniu. Musiała też Zosia bywać obecnie w kuchni, ile razy robiły się konfitury, piekły ciastka lub przyrządzało coś zbytkownego. Troskliwa matka pomyślała nawet o posyłaniu Zosi do ogrodnika państwa Pichau, u którego nauczyła się panienka układania bukietów, tak jak uczyły się córki dyrektora.

Wierna starodawnym obyczajom i przykazaniom prababek, pani Słupska na jedną chwilę nie pozostawiała „młodych" samymi. W czasie wizyt pana Józefa mogło się było nie wiem co dziać w domu, ona pozostawała w saloniku, lub ogrodzie, bawiąc narówni z córką jej konkurenta, choć ten nieraz nie umiał zapanować nad objawami swego zniecierpliwienia z powodu tego ciągłego towarzystwa starszej i małointeligentnej kobiety.

Zosia nie gniewała się o to; nie ciekawą była duszy swego przyszłego, nie miała mu nic do zwierzenia, a rada słyszała ciągłe pochlebstwa i podkreślanie swych przymiotów przez matkę.

Bardziej jeszcze radą z tej sytuacyi była Alina, która, usposobieniem różna od siostry, z przykrością dźwigała jarzmo ciągłego towarzystwa, kontroli i strofowań matki za niedostateczne szanowanie przepisów światowych, cieszyła się przeto zaabsorbowaniem matki Zosią i jej konkurentem, bo korzystając z tego cały ten czas spędzała w ogrodzie sąsiadów z drugiej strony rogatki Krakowskiej, w towarzystwie syna ich, studenta pragskiej politechniki.

Miało pogodne piękne lato, z cudnemi zachodami słońca, srebrnemi mrokami i wieczorami przepełnionemi zapachem lip kwitnących i łanów chlebnych. Zosia dnie całe spędzała wśród grozy życia kobiety przygotowującej się na panią dostatniego domu, wieczory w małym saloniku z matką i panem Józefem ,rozmawiając o najnowszych powieściach, sztukach pięknych (według sprawozdań z wystawy obrazów, starannie obecnie studyowanych i ustępami uczonych na pamięć), oraz... o ploteczkach.

Tymczasem Alina, śmiała się, płakała lub przytulała do Pietrka Ohnińskiego w altance chmielem obrośniętej. Hanka zaś w towarzystwie dorosłego brata i przyjaciela jego, malarza, Zbigniewa Dorasta, lub całej gromady skautów i skautek, odbywała bliższe i dalsze wycieczki po cudnej Galicyi zachodniej.

Pewnego ranka Nowakowa upatrzyła chwilę, w której Słupska siedziała sama w altance, ubierając nowy kapelusz dla Zosi i przysiadła się do niej, mając na lewej ręce dziurawą skarpetkę i cerując ją bez przerwy.

— Moja Olesiu, chciałam z tobą pomówić... zwrócić ci uwagę na jedno...

— Że Zosia zadużo zajmuje się swemi paznokciami!... — z ironią odezwała się pani Olga.

—Ah, nad tem już dawno przeszłam do porządku, to wasza rzecz, czy...

jeszcze nie słychać. Bobuś też nigdy nie zauważył, aby mamusia, lub tatuś nieprawdę mówili. A przytem on kochał ich tak ogromnie; jak tatuś długo nie wracał to już doczekać nie mógł, a potem rzucał mu się na szyję i powtarzał: „Bobuś kocha tatusia bardzo, bardzo".

Pewnego dnia widział Bobuś, jak tatuś liczył pieniądze, ogromnie mu się podobały te błyszczące krążki. „Tatusiu... daj Bobusiowi, daj!" Tatuś, który był jakiś smutny, rozchmurzył czoło spojrzawszy na malca i rzekł: „Masz tu, ale nie zgub, bo tatuś musi długo i ciężko pracować nim taki pieniążek dostanie, nie wiesz ty jeszcze, oj nie..." Bobuś oglądał krążek i szeptał do siebie: „Tatuś musi długo pracować..." Schował też pieniądz w pudełko od cygar i wsunął pod łóżeczko. Zaglądał codzień do niego, obracał na rączce, głaskał i chował, powtarzając: „Tatuś pracował, kochany tatuś..."

Minęło wiele dni od tego wypadku, dla Bobusia wogóle godziny były bardzo, bardzo długie, a jeszcze, gdy trzeba było czekać aż mamusia skończy szyciei o szarej godzinie weźmie go na kolana i popieści; „zaraz, zaraz", mówi, jak ci starsi dziwnie czas liczą. Raz mamusia miała oczy czerwone, a tatuś nie wiele mówił przy obiedzie, tylko coś z mamusią takiego, czego Bobuś zrozumieć nie mógł. Nikt nim nie zajmował się dziś, więc podreptał smutny do swego kącika, bawił się cichutko. Po chwili zadzwonił ktoś, mama drzwi otworzyła i do pokoju taty wszedł jakiś pan. Przez drzwi przymknięte słychać było rozmowy. Bobuś nie uważał na to, ale niebawem podniósł się głos nieznajomego, tatuś coś odpowiadał, ale tamten zaczął krzyczeć. Bobuś przestraszył się ogromnie, zacisnął piąstki kurczowo. „Ja czekać już nie mogę" wołał nieznajomy, „zapłać pan, albo w tej chwili wyrzucam was z mieszkania... Wszystko mi jedno, czy mróz czy nie!" Tatuś zaczął znów coś tłumaczyć, lecz jego słowa przygłuszył zapalczywy okrzyk: „Pieniędzy chcę, zaraz pieniędzy!"

Bobuś spojrzał na mamusię . Siedziała przy maszynie, ręce trzymając na twarzy, szlochała po cichu.

Bobuś zrozumiał jedno, że tatuś koniecznie potrzebuje pieniędzy, i że ten pan to bardzo jest niedobry i prędzej nie przestanie gniewać się na tatę, póki mu nie da. Bobuś zbliżył się do mamy i kładąc jej rękę na kolanie, zaczął z powagą: „Mamusiu! Daj tatusiowi pieniędzy, nie chcesz dać?" Mamusia potrząsnęła głową: „Nie mam". — Bobuś stanął bezradny, on myślał zawsze, że mama wszystko a... wtem... nagle rozjaśniła mu się twarzyczka... pobiegł do swego pudełka, wyciągnął pieniążek. W pokoju taty ten pan wciąż gniewał się mocno. Bobuś odemknął drzwi ,wsunął się do pokoju, oczka ze strachu otwierając szeroko. W piąstce ściskał pieniążek. „Bobuś! Idź do mamy!, szepnął ojciec, spostrzegając malca, ale Bobuś nie ruszał się z miejsca, stał, potem nagle zwrócił się do wierzyciela, wyciągając rączkę ze skarbem. „Masz! to są pieniądze! Idź! — Nie gniewaj się na tatusia!" Moneta padła na ziemię, tatuś chwycił malca w ramiona, a Bobuś

— Gdybyś słyszała, ile razy pan Józef zaznaczył to, jak prześlicznie utrzymaną rękę ma Zosieńka!... powiada, że mało która hrabianka ma równie wypielęgnowaną. A on może o tem decydować, bo jego matka jest baronówna z domu.

— Czy on myśli żenić się z Zosią?

— Spodziewam się!.... Przecież bywa prawie codziennie, przywozi kwiaty, cukierki...

— Czy to solidarny człowiek.

— Powiadam ci, ma matkę baronównę.

— Ale on sam?

— Cóż on?... Ma świetną posadę, stosunki, pięknie urządzony dom... będą bywali u obywateli.

— I niedługo myślisz wydać to dziecko?

— Oh, niech się nacieszy pięknym stanem narzeczeńskim... Powiedz, czy to nie najszczęśliwsze czasy?... Nie ma się obowiązków, kłopotów domowych, a ma się przyjemności, hołdy, uwielbienie...

— Życie jest za poważne, żeby takie błache czynniki stanowiły treść jego przez długie lata.

— Ah, już zaczynasz swoje morały!...

— Całkiem bezcelowe, przyznaję i przestaję, zresztą przyszłam tutaj, aby mówić nie oZosi, ale o Alinie.

— Cóż powiesz?

— Czy wiadomem ci, co ona robi w czasie, gdy ty przesiadujesz z konkurentem Zosi?

— Zawsze na ten czas daję jej książkę do czytania.

— No i skontrolowałaś czy ją rzeczywiście czyta i ile z tego korzysta?

— A dajże spokój!... Gdzie ja bym czas miała, jak kawaler w domu, jeszcze egzaminować Alinę z tego, co przeczytała!... Może mam jeszcze paznokciem zaznaczyć odkąd dokąd ma przeczytać?

— Nie o to idzie, ale...

— Tybyś wolała, żeby z Hanią i jej czeredą latała po wycieczkach!

— Pewnie, że to byłoby najlepiej; dziewczynka zdrowa, bujna, z temperamentem, doskonale jest, gdy się sportuje; a i przykazania skautowskie dla duszy są doniosłe. Napewne lepiej byłoby Alinie w towarzystwie Hanki i jej czeredy, aniżeli że przesiaduje całemi wieczorami z Pietrkiem Oknińskich, w ich ogrodzie.

Słupska spojrzała zdziwiona.

— Z Pietrkiem Oknińskim?... Co ci w głowie?

— Obserwuję ich od jakiegoś czasu, pomimo, że Alina bardzo się z tem ukrywa.

Słupska upuściła kapelusz na kolana, głowę wsparła na rękach i przez chwilę pozostawała zamyślona, ale wnet twarz jej się rozjaśniła, machnęła ręką i rzekła lekko:

— Ach, cóż tam Alinka... to przecież takie dziecko jeszcze!...

— Nie rozumiem ciebie, Olu, więc Zosi, gdy jest pan Józef nie odstępujesz na krok!...

— A, to co innego... to jest konkurent... Coby świat powiedział na to, że ja moją córkę pozostawiam sam na sam z konkurentem...

— No, a pozostawianie Aliny z Pietrkiem uważasz za właściwe i bezpieczne?

— To całkiem co innego, Alinka jest niedorosła, świat się nią nie interesuje... z Piotrusiem znają się od dzieci... Przecież gdy była jeszcze małą dziewczynką lubiła najbardziej z nim się bawić.

— Tak, ale wtedy nie ukrywała się z tem! Z chwilą zaś ,gdy panienka robi sekret ze spotykania się z młodym człowiekiem, czujność jej wychowawców powinna się wzmagać.

— Moja Maryniu, widzisz źdźbło w oku bliźniego, a belki w swojem nie dostrzegasz. Pilnuj ty lepiej Hani, bo z tego włóczenia się jej z chłopakami nic dobrego nie wyjdzie. Nałażą się, nawycieczkują, ale żaden się z nią nie ożeni.

— To już najmniejsze nieszczęście!

(Dokończenie nastąpi.)

ucieszony, objął go mocno za szyję łapkami. — Tamten stał chwilę bez słowa. Ujrzał w myśli własne swe dzieci, ciepły, swojski pokój, a na dworze zimę groźną, ponurą.

„Poczekam jeszcze miesiąc" rzekł półgłosem i wysunął się cicho z pokoju.

Podług Forthuny'ego.

Zbigniew Topór.

VIII. Zjazd Delegowanych Zjednoczenia Tow. Kob. Oświatowych.

odbył się w środę, dnia 19 t. m. w Poznaniu. Delegatek stawiło się około 60, prócz tego liczni goście, między nimi p. Jańczakowa z Berlina, przedstawicielka tamtejszych Tow. kob. Oświatowych.

Zebranie zagaiła przewodnicząca, p. Suchocka z Pleszewa, proponując nasamprzód wysłanie telegramu do Najprzew. ks. Arcypasterza, na co godzą się zebrane panie. Sprawdziwszy legitymacye delegowanych zastępczyni sekretarki odczytała protokuł zeszłorocznego Zjazdu.

P. przewodnicząca przedłożyła sprawozdanie całoroczne, podnosząc z uznaniem, że mimo ciągle jeszcze trwającej wojny, Zjednoczenie rozwija się pomyślnie, zyskując w ostatnim roku jedno nowe towarzystwo w Inowrocławiu i 76 członków. Wskutek ciągle wzrastającej ceny za papier i druki, a niskiej bardzo składki rocznej, prosi p. przewodnicząca, aby stowarzyszenia płaciły regularnie składki do Zjednoczenia. Na temat drożyzny tej wywiązała się ożywiona dyskusya; chcąc podnieść stan kasy, zaproponowały delegowane, w różnych formach, podniesienie składek, datki dobrowolne jako dodatki wojenne i t. p. Z dyskusyi tej wynikła rezolucya, polecająca Zarządom stow. związkowych starać się o datki nadzwyczajne w formie, jaką zarządy poszczególne uznają za odpowiednią.

Pani Jańczakowa z Berlina prosiła o przyjęcie do Zjednoczenia 16 stowarzyszeń berlińskich z około 1000cem członków, na warunkach wyjątkowych, t. z. za ogólną niższą opłatą, na co Zarząd Zjednoczenia godzić się nie może, właśnie ze względu na te wysokie ceny druku, przyrzeka jednakże sprawę tę rozważyć osobno.

Jedna z przedstawicielek kół Ziemianek poleca gorąco zebranym pamiętać i w tym roku o „Bezdomnych", których nędza coraz większa, a fundusze komitetów ratunkowych uszczupliły się znacznie. Z braku wszelakich artykułów nie będzie można w tym, jak i w roku zeszłym, urządzać bazarów i loteryi, prosi więc, aby p. delegowane same sobie i w stowarzyszeniach swoich przypominały konieczną ofiarność dla nieszczęśliwych bezdomnych rodaków naszych.

Ożywioną dyskusyę wywołała również sprawa p r a c y o ś w i a t o w e j. Liczne delegowane polecały gorąco kółka oświatowe w stowarzyszeniach, naukę gramatyki, historyi i literatury ojczystej. P. przewodnicząca oznajmiła, że wkrótce podawać będą w gazetce związkowej wskazówki do tej nauki, różne podręczniki i książki, ułatwiające kółkom systematyczną i regularną naukę.

Po przerwie obiadowej odczytała najpierw p. przewodnicząca odpowiedź ks. Arcypasterza, który życząc zjazdowi owocnych obrad, przysłał arcypasterskie błogosławieństwo.

Następnie członek Zarządu, p. Zofia Rzepecka, wygłosiła referat: „Z n o w y c h z a g a d n i e ń r u c h u k o b i e c e g o".

Prelegentka przypomniała najpierw upośledzenie kobiety w pogaństwie, dalej wyzwolenie jej pod wpływem nauki Chrystusowej, która w zasadzie postawiła kobietę obok mężczyzny. Następnie przeszła do wieków średnich, kiedy kobieta w wyjątkowych i rzadkich wypadkach ukazywała się w życiu szerszem. Z biegiem czasu i zmiany stosunków ekonomicznych, kiedy i kobiety częściej opuszczać musiały zacisze domowe i stawać do pracy zarobkowej, musiały także uledz zmianie warunki jej życia. To też kobiety w Ameryce, Anglii, Francyi i Niemczech coraz głośniej dopominały się o szersze dla siebie prawa i przywileje w życiu społecznem i politycznem.

Położenie nasze narodowe nie pozwoliło nam Polkom stanąć w szeregu tych kobiet. Obecnie przecież, kiedy wojna taki przewrót przyniosła już dotychczas w życiu naszem politycznem, także i kobiety — Polki w Królestwie i Galicyi, dopominały się na różnych zjazdach praw w życiu politycznem i gminnem.

Nie wątpimy, że koniec wojny i nasze warunki życia politycznego zmieni pod wielu względami, że i my będziemy miały głos w życiu szerszem, powinnyśmy więc już teraz zaznajamiać się z sprawami szkolnemi, gminnemi i ogólno-politycznemi, aby nas chwila, może już bliska, nie zastała nieprzygotowane, a obce, bardziej od nas uświadomione kobiety, nie zajęły miejsca naszego.

Serdeczne podziękowanie było dowodem, jak bardzo podobał się ten zajmujący i tak na czasie wykład, po którym gorąca i ożywiona nastąpiła dyskusya. Przemawiały liczne panie, godząc się na to, że kobieta dziś dużo potrzebuje nauki i wiedzy, już nietylko ze względu na możliwe przyszłe wystąpienie polityczne, ale także jako ż o n a i m a t k a, o b y w a t e l k a i s i o s t r a cierpiących współbraci. Tylko inteligencya i nauka, która wykształca równocześnie i serce kobiece, zapewnią nam w świecie stanowisko, jakie mamy prawo spodziewać się w zmienionych po wojnie warunkach społeczno-politycznych.

Wynikiem wykładu i dyskusyi była rezolucya, przeczytana przez prelegentkę p. Rzepecką, nawołująca kobiety 1) do garnięcia się do wyższego wykształcenia, 2) do zaznajamiania się z ogólnym ruchem kobiecym, 3) do zaznajamiania się z wszelkiemi urządzeniami społecznemi i politycznemi.

P. przewodnicząca dziękując bardzo licznie zebranym paniom za żywy udział w obradach, solwuje zebranie pochwaleniem Pana Boga.

Notatki hygieniczne.

Przepisy chroniące od czerwonki (biegunki).

1) C z y s t o ś ć r ą k. Myj ręce jak najczęściej: zawsze przed jedzeniem i po wyjściu z miejsca ustępowego. Nie podawaj ręki przy witaniu się i żegnaniu ludziom, którzy mogli ręce swe zanieczyścić zarazkami choroby. Gdy obawiasz się, żeś ręce zanieczyścił, obmyj je płynem odkażającym (desinfekcyjnym) lub spirytusem.

2) B a c z n o ś ć n a p o k a r m y. Nie pij innej wody oprócz wodociągowej (uważaj na wycieczkach poza miasto!). Nie pij mleka niegotowanego (podśmietannie, mleko kwaśne). Nie jedz surowych owoców niedojrzałych — a dojrzałe tylko po poprzedniem dokładnem obmyciu w woddzie wodociągowej i obraniu z łupiny — a najlepiej jedz je ugotowane lub pieczone. Nie pij po ulicach lub w brudnych lokalach sprzedawanych limonad, moszczu itp. Jeżeli łatwo zapadasz na żołądek, nie jedz obecnie zupełnie surowych owoców, sałat, rzodkiewek, mizeryi itp.

3) Baczność przy sporządzaniu pokarmów. Nie daj gotować, bez badania lekarskiego, kucharce, która przebyła choćby najlżejszą biegunkę krwawą. W kuchni przestrzegaj jak najstaranniej czystości. Ochraniaj pokarmy i napoje przed muchami, które roznoszą czerwonkę.

4) Tryb życia. Przestrzegaj regularnego trybu życia, dbaj o czystość ciała, odzieży, mieszkania, miejsc ustępowych itp.

5) Unikaj zetknięcia choćby z najlżej chorym, z jego bielizną, pościelą, ubraniem, gdyż zarazek, który wywołał lekki przebieg u jednego chorego, może najcięższą czerwonkę wywołać u drugiego! Nie lekceważ lekkiego przebiegu choroby u siebie lub u dziecka, lecz wzywaj natychmiast lekarza.

„Kurjer Poznański".

Pytania i odpowiedzi.

Co znaczy rzeczpospolita?

Słowa te dzisiaj nie każdemu zaraz zrozumiale, gdyż wyraz „pospolity" dziś nabrał innego znaczenia. Dziś wyrażenia „pospolity" używamy na oznaczenie, że coś jest zwykłe, niewybitne, nic nadzwyczajnego.

Inaczej w dawniejszej polszczyźnie. Dawniej oznaczał wyraz ten tyle, co „wszystkim służący", „wspólny". Rzeczpospolita więc oznaczała „rzecz wspólną", „społeczność".

Stąd używano też wyrazu rzeczpospolita na oznaczenie rządu i państwa. „Rzeczpospolita jest zgromadzenie ludzkie, porządnie zebrane, ku dobremu życiu postanowione. Imieniem Rzeczpospolitej jedna familia albo dom jeden nie bywa nazwan, gdyż jest rzecz osobna, jednemu należąca, którą własnym imieniem zowią rzeczą domową" — pisze Modrzewski. Albo na innem miejscu ten sam pisarz: „Takowa rzeczpospolitą za najlepszą mają gdzie królewska władza wszystko rządzi; osobom zacnym celniejsze urzędy dawaja, a wszyscy zarówno pod prawem". Dla tego też rzeczpospolita polską nazywano państwo polskie, i my do dziś dnia w tem znaczeniu używamy tego wyrazu.

GŁOSY CZYTELNICZEK.

Chętnie czytuję naszą kochaną i ulubioną gazetkę, a najbardziej zajął mnie artykuł w ostatnim numerze „Pracujmy nad sobą", w którym to nam jedna z kochanych sióstr naszych opisuje, jak się zabrać do pracy, aby zawsze być pogodną.

Otóż i ja dawniej byłam milczącą i często się gniewałam, w otoczeniu mojem czułam się zawsze najnieszczęśliwszą istotą, ustawicznie byłam w złym humorze, a to mi odbierało ochotę do życia. Jakie bądź słowa moich przyjaciółek, wywoływały u mnie gniew; nie miałam tego serca szlachetnego, aby przebaczać i darować chętnie urazy. Nie miałam zupełnie wyrozumiałości i pokory, a każda z nas, kochane Siostry, wie, że duch pokory sprzeciwia się gniewowi i smutkowi, które znowu nie pozwoliłyby nam mieć pogodnego usposobienia.

Chętnie więc pracuję nad sobą i wiem z własnego doświadczenia, że przez pogodę ducha i wesołość zdziałać można bardzo wiele dobrego, wyplenić niejeden chwast i wadę. Jak pracuję nad sobą? zapytacie Siostry kochane. — Odmawiając ranny pacierz, ofiaruję codzienne moje zajęcia i pracę wszelką Bogu na chwałę i przyrzekam być uprzejmą i pogodną dla mego otoczenia, a przyrzeczenie to mam ustawicznie w pamięci. Jeżeli przyjdą czasem burzliwe dni i oko się załzawi, wtedy ta intencya zbawienna i pocieszająca o pogodzie ducha przypomni mi się. Od razu, jak gdyby nic nie zaszło, być wesołą i pogodną, to przyznam wam się, Siostry kochane, to jest często bardzo trudno, jednakże znaleźć można oparcie na silnej woli.

Boć nie wola nami ma kierować, tylko my musimy panować nad sobą, a wtenczas ustąpią łatwiej wszelkie niedomagania, wady i ułomności serca naszego. Wyznaję szczerze, że od chwili, kiedy pracuję nad sobą, jestem szczęśliwą, miłe mi są towarzystwa i otoczenie, mam chęć do życia.

Miłujcie bliźnego swego, jak mówi przykazanie Boże, a wtedy łatwiej pokonacie trudności.

Czy mi drogie Siostry przyznacie słuszność? Pracujcie tylko na sobą, a same przekonacie się o tem.

M. K. z Stowarzyszenia Żeńskiej Młodzieży w Środzie.

W odpowiedzi na pogadankę w Nr. 19 gazetki naszej donoszę, że wydawanie gazet i u nas przechodziło różne koleje. Przed 5 laty przy założeniu Towarzystwa była nas taka garstka, że poprostu zabierałam „Gazetę" na zebrania i wręczałam każdej z osobna. Pomału przybywało nas, więc już w ten sposób nie mogłam gazetki rozdawać, to też nie wszystkie stowarzyszone ją odbierały. W tem to czasie moja szefowa została p. radną i zaczęła wydawać w swoim składzie. Tutaj też bywało różnie, bo pierwotnie myślano: przecież nie mogę tam iść, bo nie mam potrzeby coś kupić" — a biedna „Gazetka" czekała nieraz i tygodnie aż ją odbiorą.

W tem zarządał ks. patron książki kontrolowej z odbioru gazet i pochwalił, wymieniając po nazwisku te, które regularnie odbierały gazetę. To pomogło zaraz, teraz zaś rozmaitość sprawiła, że i doczekać się „Gazetki" nie mogą.

Co do rozdawania samego dużo nas teraz, więc też dużo upodobań. Skład zawsze otwarty, mogą więc przychodzić, kiedy tylko chcą, a że mieszkamy przy rynku, to wszystkim dosyć wygodnie. Najwięcej jednak przychodzą w niedzielę po sumie. Choć w składzie wtenczas najwięcej pracy, jednakże przy dobrej chęci i to się zrobi. Przychodzi naprzykład starsza kółka V i zabiera dla całego swego kółka, za co już niejednę odebrała pochwałę. Dalej przyjaciółka zabiera po 4—5 i więcej dla całego takiego grona przyjaciółek. Mamy też i Wybudowania; tam już sąsiadka zabiera po 2—3, a reszta, mieszkając osobno, sama przychodzi, i południowa partya zakończona. Po nieszporach przyjdzie jeszcze ta i owa, a na zakończenie wpada Kółko śpiewu po odbytej próbie i przynosi tyle życia, śmiechu i wesołości, że mamy stokrotnie zapłacone to trochę pracy przy wydawaniu gazetki.

O godzinie 7 szefowa zabiera mnie na przechadzkę i tam dopiero swobodnie się gwarzy, czasem i deklamuje lub też debatuje nad usłyszanem i przeczytanem z całego tygodnia.

Julia.

Rozwiązanie zagadki historycznej z Nr. 19:

Barbara Radziwiłłówna.

Barbara Radziwiłłówna była córką hetmana litewskiego, Jerzego Radziwiłła, a żoną króla polskiego Zygmunta Augusta, który wstąpił na tron r. 1548. Zaliczał się on do zasłużeńszych naszych królów, a był jeszcze za życia ojca koronowanym na króla polskiego.

Przebywając w Wilnie poznał dobrą i piękną Barbarę Radziwiłłównę, wdowę po wojewodzie Gasztołdzie, którą tak pokochał, że się z nią ożenił. Obawiając się jednak ojca wziął ślub potajemnie; po śmierci Zygmunta I oznajmił król Zygmunt August publicznie, że Barbara Radziwiłłówna jest jego żoną. Rozgniewało to matkę króla, Bonę i możnych polskich panów, którzy starali się usilnie, aby król porzucił Barbarę a poślubił jaką księżni-

czkę z królewskiego rodu. Oparł się temu król stanowczo i mimo licznych przeszkód doprowadził do tego, że jego ukochana Barbara ukoronowaną była na królową polską. Lecz nie długo nią była; umarła wkrótce otruta przez świekrę swoją, Bonę. — Zygmunt August szczerze ją opłakiwał i szukał pociechy w pracy i w dobrych uczynkach.

*

Pozwalam sobie przesłać Szan Redakcyi rozwiązanie zagadki historycznej, umieszczonej w numerze 19-tym w „Gazecie dla Kobiet". Czytając gazetkę naszą, podpada mi nieraz, że tak mało stowarzyszonych nadsyła rozwiązań zagadek, przedewszystkiem zagadek historycznych. Czyby stowarzyszone tak mało interesować się miały niemi? a czy tak mało są obznajomione z dziejami narodu i kraju naszego? lub może uważają, że taką drobnostką nie warto się zajmować? Ja sądzę, że praca nad rozwiązaniem zagadek a zwłaszcza historycznych, kształci umysł i serce, oświeca i zaznajamia nas z historyą polską. — Na tak wielką liczbę członkiń, które związek nasz liczy, powinna być Szan. Redakcya literalnie zasypana rozwiązaniami zagadek; okazałyby przez to stowarzyszone, że jako dobre Polki znają swój kraj i dzieje jego.

Łącząc Szan. Redakcyi wyrazy prawdziwego szacunku i poważania kreślę się uniżona

Stanisława Jednorowiczówna.

* * *

Zygmunt August, młody wdowiec, poznał w Wilnie również młodą wdowę po wojewodzie Gasztołdzie, Barbarę z Książąt Radziwiłłów, a zapłoniwszy ku niej szczerą miłością, postanowił ją poślubić. Był w polskim prawie publicznym przepis, że królowi nie wolno się żenić bez wiedzy i zgody senatu. Młody król poślubił więc bez pozwolenia i w tajemnicy w Wilnie Barbarę Radziwiłłównę. Wiosną 1548 r. wybierał się Zygmunt August do Krakowa, ażeby ojcu wyznać sprawę, ale nie zastał go już przy życiu. Wstępując na tron, musiał nowy król ogłosić, że jest żonatym, że obok króla jest i królowa...

Na sejmie powstała gwałtowna wrzawa i krzyk oburzenia zerwał się na króla za rzekome podeptanie majestatu korony polskiej. Posłowie mieli w tem swe wyrachowanie, a mianowicie, chcąc króla zmusić do rozwodu, zmuszali go przez to samo do zerwania z Rzymem, papież bowiem rozwodu dać nie mógł. Na klęczkach padano przed królem i błagano, żeby żonę opuścił. On na to wszystko odparł prostemi słowy: „jakżebym miał wam wiary dochować, gdybym jej nie dochował własnej żonie?"
Król oświadczył wręcz na sejmie, że woli koronę stracić, niż przysięgę małżeńską złamać, przełamał upór posłów i w r. 1550 koronowała się Barbara na polską królowę. Zmarła jednak zaraz w następnym roku, przyczem podejrzywano królową matkę Bonę o jej otrucie. Król zaś od śmierci Barbary nie zaznał już szczęścia w prywatnym życiu.

Marya Matysiakówna.

* * *

W roku 1547 pojął Zygmunt August II po śmierci swej pierwszej żony Elżbiety, arcyksiężniczki austryackiej, Barbarę Radziwiłłównę wdowę po Gasztołdzie, wojewodzie trockim bez wiedzy rodziców i narodu, gdyż wiedział, że na małżeństwo nie zezwolą, bo nie była z królewskiego rodu. Po śmierci ojca swego Zygmunta oświadczył król na sejmie, że Barbara jest jego żoną, a że on sam już był koronowany, chciał także i swoją żonę uroczyście ozdobić koroną. Na to cała szlachta i matka króla, Bona, nie chciała się zgodzić, zazdroszcząc synowej nie królewskiego pochodzenia, któraby także rządzić i przewodzić miała w kraju. Sejm został odłożony do roku przyszłego, aż się wszyscy zgodzili na koronacyę. Przecież długo nie cieszył się ten król, bo Barbara od dawna była już chora i w pięć miesięcy po koronacyi umarła, mając dopiero 27 lat. Barbara pragnęła być pochowaną na Litwie, więc król przewiózł jej zwłoki do Wilna i pochował tamże w kościele katedralnym.

Józefa Marchowiecka, Gniezno.

Sprawy Związku i Stowarzyszeń.

Z ruchu Stowarzyszeń.

Stowarzyszenie kobiet pracujących „Zjednoczenie" w Szamotułach.

Dnia 26 sierpnia w miejsce zebrania obchodziliśmy imieniny czcigodnego ks. patrona. Na wstępie zastępczyni sekretarki złożyła ks. patronowi serdeczne życzenia ,poczem grono dziewcząt odśpiewało pieśni na cześć czcigodnego solenizanta. Następnie złożono życzenia wierszem. W dniu tym zostało także przyjętych do stowarzyszenia dwadzieścia nowych kandydatek, których nazwiska spisane na ozdobnym arkuszu wręczono ks. patronowi przez jednę z kandydatek. Na zakończenie tej uroczystości odśpiewano jeszcze jedną piosenkę i wzniesiono na cześć ks. patrona trzykrotny okrzyk: niech żyje! Po złożonych życzeniach ks. patron wzruszony okazaną mu pamięcią, dowodami przywiązania i wdzięczności, wyrażonej w życzeniach, podziękował zarządowi i całemu Tow.. poczem pod przewodnictwem ks. patrona i pań z zarządu wyruszyłyśmy na wycieczkę. Tow. całe udało się na księży folwark, do ogrodu, gdzie ks. solenizant przyjął nas bardzo gościnnie. Odpocząwszy chwilę bawiłyśmy się w różne gry. Gdy już zaczął zmrok zapadać ,odśpiewałyśmy pieśń „Wszystkie nasze dzienne sprawy, i z wielkiem zadowoleniem wyruszyłyśmy do domów naszych. Dzień ten, tak mile spędzony, pozostanie nam długo w pamięci.

J. Jaroszówna, sekr.

Dalsze sprawozdania z powodu braku miejsca umieścimy w następnym numerze.

Stow. „Oświata i Praca" w parafii św. Łazarza.

Szanownym członkom tow. naszego podajemy do wiadomości, iż msza św. oraz wspólna Komunia św. towarzystwa naszego odprawi się dnia 7-go października o godz. 9-ej w kościele naszym. Uprasza się, aby stowarzyszone wszystkie ten święty obowiązek wypełniły.

Zarząd.

†

Dnia 8-go września 1917 rozstała się z tym światem, po długich i ciężkich cierpieniach, opatrzona św. Sakramentami, ś. p.

Teresa Furmankówna.

Zmarła należała do

Tow. Młodzieży żeńskiej „Praca i Oświata" w Środzie.

Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie!

Czcionkami i drukiem Drukarni i Księgarni św. Wojciecha G. m. b. H. w Poznaniu.